

Zanim się obudzę, przyśnij mi się ten jedyny raz, kiedy płoną gwiazdy, kiedy myśl przemija bez echa. Dopóki trwa we mnie czysta noc, moje zmysły pozostaną szeroko otwarte. Odkąd zakochałam się w twoim westchnieniu, miłość przybrała prostsze imię. Mroczny Mesjaszu, powrócę do raju, jeśli samotność stanie się jedynym pretekstem, aby zasnąć dobrowolnie. Odnajdę twoją bujną pustkę, odszukam pozbawione żalu łzy. W naszych sercach, złączonych jak do modlitwy, guzdra się światło, dla którego mogłabym zginąć na miejscu. W moim dzisiejszym świecie płonie bolesny uśmiech, tak bezkresny, że ciało odmawia posłuszeństwa.

Mroczny Mesjaszu, dzielimy się dziś tym samym smutkiem, tą samą krwią, która spala się w naszych tęsknych słowach. Odnalazłam pośród niewypełnionych stuleci krzyknę wiary, odrobinę ufności, że to, co nagle, zazwyczaj jest przepełnione nostalgią i nienasyconym błąkaniem się od drzwi do okna, od okna do drzwi...

Trwa długi, zimowy wieczór. Radosny płomień hasa na palenisku, dając uśmierzające ciepło. W palcach trzymamy kieliszki z winem, wznosząc toast za to, co stało się odległym, lecz niedokończonym wstępem do niezbyt naiwnej bajki. W naszych żyłach płynie alkohol, przynosząc ulgę dla przerysowanych myśli, dla jątrzących się ran po pocałunku. Mroczny Mesjaszu, jesteś tak bliski, że przez moją duszę przetacza się spazm namiętności. Opieram policzek o twoje masywne ramię; jest tak cudownie cicho, że słyszę spokojne, ostrożne kroki twojego snu. Przymykam powieki, twój szept wypełnia kąty mojej głowy. Delektuję się zapachem cynamonu i pomarańczy...

Wiem, że pewnego razu zabraknie nam powietrza, aby dalej żyć. Zachłyśniemy się haustem nieba, towarzyszącego nam tego bezkresnego wieczora. Chciałabym nauczyć się języka ludzi, ale zdaje się, że tylko ty mnie rozumiesz. Jedynie ty pojmujesz, co miałam na myśli w kolejnym liście. W naszych skroniach buzuje wino, coraz odważniej spoglądam w twoją pogodną twarz. Tobie też udzielił się spokój i szeroki uśmiech. Purpurowe oczy lśnią z radości, przepastny kaptur zsunął się z wysokiego czoła. Ubywa wina, ale wypiliśmy dostatecznie dużo, żeby zasnąć pośród wyczerpanych fantazji, między słowami, którym nikt nie nadał myśli.

Nabieram pewności siebie, chcę zdjąć z twojej głowy tej paskudny kaptur... Lecz ty chwytasz w ostatniej chwili mój nadgarstek. Czynisz to łagodnie, ale zdecydowanie. Zaglądasz mi w oczy, rozumiem wszystko z wyrazu twojej twarzy. Nie wypowiadasz ani jednego słowa, milczenie jest zbyt upojne, aby je dobrowolnie zburzyć. I kiedy tak patrzę w te zachwycające oczy, dociera do mnie, jak wiele snów zaprzepaściłam, zanim ciebie spotkałam. Pojęłam, że znalazłam się tak blisko twojego serca, że światło pękło na pół, cień zgubił właściciela...

Tak... Rozumiemy się bez zbędnych słów, wystarcza ballada, która płonie w naszych sercach. W pewnej chwili pragnę otworzyć usta, ale przykładasz do nich swój smukły, chłodny palec. Kręcisz przy tym nieznanie głową, jakbyś odpowiadał moim myślom... I wszystko wraca do równowagi, znów skupiamy się na swojej bliskości. Jesteś dostatecznie niedaleko, żebym mogła słuchać twojego oddechu, jak sentymentalnej ballady...

W pewnym momencie zaczynam mówić. Pierwsze wypowiedziane przeze mnie słowa dotyczą ziemi i nieba, miłości i samotności, kobiety i mężczyzny, człowieka i Boga... Mówię odważnie o namiętności, na którą oboje zasłużyliśmy, jakiej się spodziewaliśmy. W pewnym momencie łza przecina mój błady poli-

czek; zgarniasz tę życiodajną perłę swoim palcem...

Czekam, aż przestanę szlochać, po czym mówię dalej. Wspominam wieczność, która dziś nie należy do nikogo. Ubieram w słowa myśli o samotności i piękniejszej przyszłości. Nic, co obce i znikome, dziś mnie nie dotyczy. Odnajduję pośród skał tę trawę, tak niewinną w porównaniu z rozłożystymi kamieniami...

Opowiadam ci spokojnie historię mojego życia, wspominam lukę, która w niej ziele. Mówiąc, śledzę mowę twojego ciała. Widzę, jak boisz się tego, co słyszysz. Miętosisz w palcach rąbek czarnej szaty. Nieprzytomny wzrok masz utkwiony w pustce. Wiem jednak, że słuchasz mnie uważnie, że spijasz z moich ust każdą nazwaną myśl... Kiedy kończę szeptać, przez chwilę nie reagujesz. W końcu jednak otwierasz na oścież serce. Zaczynasz przydługi monolog o tym, co ludzkie, a tak nam wszystkim odległe i nieogarnięte. Usiłujesz naiwnie odszukać człowieczeństwa na tym ubogim, usychającym świecie. Mówisz, że życie nie zawsze musi być pustą zagadką, której rozwiązania nie znamy nawet my. Nawet najlichsze wspomnienia sprawiają, że człowiek zaczyna marzyć o powrocie do przyszłości...

Milknie. Odstawiamy na stolik puste kieliszki. Zwracasz się w moją stronę i przykładasz dłoń do miejsca, w którym bredzi moje serce. Stwierdzasz, że twój cały wszechświat ma dom właśnie tutaj. Wszystkie twoje myśli są skupione na świetle wypełniającym moją duszę. Przyznajesz się bez bicia, że jedynym zwierciadłem, w którym się przeglądasz, są moje oczy. Oczy pełne serdecznych łez.

Po chwili milczenia kontynuujesz. Nawiązujesz do naszych marzeń, które przybywają wtedy, gdy ich już nie potrzebujemy. Masz na myśli pragnienia, z jakimi nie warto walczyć, którym warto czasem się poddać. Kiedy mówisz tak pięknie, że słucha cię z uwagą całe moje życie, spod twojej powieki uwalnia się szkarłatna łza. Ocieram ją. W ramach wdzięczności ujmujesz mnie za nadgarstek i całujesz grzbiet mojej dłoni. Szepcę, że jestem tutaj tylko po to, aby zasnęła nasza wspólna terażniejszość. Wszystko, co ulega złudzeniom, jest smutną wyprawą w te strony, których nie zdążyliśmy jeszcze poznać, jakie wciąż pozostają nieznajome i dalekie. Wiem, że nie kłamiesz. Wiem, że jesteś objawieniem, które powierzył mi sam Demiurg. Słucham, gdy szepcesz o samotnych snach, w których nikt już nie mieszka, w których roi się od bezbolesnych przewinień. Spijam z twoich warg każde słowo, nawet to najdrobniejsze, najmilsze...

Kiedy przestajesz mówić o wiośnie w ludzkich duszach, otwieram nieznacznie drzwi do mojego zmyślonego świata. Przykładam dłoń do twojej klatki piersiowej i słyszę ten dobrotliwy stukot serca... Mówię, że tutaj zamieszkała cała moja przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Mówię, że brakuje mi takich łez, które udźwignęłyby całą radość mojej powszedniości. Płacę. Zaczynam płakać, wtulając twarz w twój tors. Głaskasz mnie czule po głowie i usiłujesz uspokoić łagodnym szeptem. Moje łkanie stopniowo przemienia się w kojący spokój. W materiał twojej szaty wsiąka ostatnia łza.

W końcu przetykam ostatni smutek i wracam na miejsce u twojego boku. Ujmujesz moją dłoń i składasz na swoim kościstym kolanie. Wybija zniecka północ, ale my się tym nie martwimy. Ani ty, ani ja nie uciekamy przed bezgwiezdą nocą. Na czarnej płachcie nie ma choćby nadgryzionego księżycy. Wino się skończyło, ale nie brakuje nam odwagi, aby mówić o Bogu i miłości.

Dzisiejszej nocy popłynęło jeszcze wiele łez. Bardzo, bardzo smutnych i zimnych. Nienasycona ustawicznym żalem i melancholią, co rusz sprawdzam, czy jesteś tuż obok. Tak jakbym się bała, czy nikt mi cię zniecka nie odbierze... Na moich wargach wciąż trwa piętno twoich urodziwych pocałunków. Na skórze błąka się burzliwy dotyk. Nie istnieje taka moc, taka rzeczywistość, która mogłaby nas dziś rozdzielić. Mijają kolejne niezaspokojone godziny, następne uśmiechy prosto w twarz.

I choć zaczyna się pomału nowy dzień, my się tego nie boimy. Wciąż siedzimy przed kominkiem, na którym już nie bryka radosny płomień. Nieśmiała jutrzienka puka spokojnie do okna, jakby wstydziła się swojej obecności. Na ściany pokoju wpełza powolutku pierworodne światło.

I wiem... Powrócą takie dni, kiedy człowiek marzył o lepszym świecie. Powrócą sny, w których nie boimy się rodzić. Z naszych zespolonych serc umyka ostatni podryg bólu. Nasze myśli przepelnia cisza i urodzajna radość. Spokojne są dziś nasze łzy. Choć nie ma ratunku dla melancholii, to szczęście napelnia naszą przyszłość. Przyszłość z reguły bezbolesną i niecierpliwą.

Kołyszem w ramionach nowo narodzony świt. Od niechcienia siorbiemy sobie gorącą czekoladę z kubków. I choć wiemy doskonale, że prawdomówność do niczego dobrego nie prowadzi, wciąż tłamsimy w sobie załączek spełnienia, odrobinę wiecznej jasności... Nie pozostanie w nas ani trochę przestrzeni czy wolności - Bóg obiecał nam ciekawszy los... Tak. Bogu oddajemy nasze życie, Jemu powierzamy naszą wiarę. I choć modlitwa nie zdobi naszych warg, nie rozjaśnia serca - zrozumiemy dzisiejszą jawę, dzisiejszy sens dalszej egzystencji. Z uśmiechem wtargniemy do kolejnego dnia. I rozumiemy dobrze: światło powróci, dopóki w naszych sercach tkwią urodzajne cienie, pozbawione blasku łzy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Kasia Koziorowska, dodano 02.07.2023 16:32

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.